Handelek redivivus

2021-11-17

W Krakowie – po liczącej wiele dziesiątków lat przerwie – znów działa „handelek”. Oczywiście z powodu obawy przed oskarżeniem o kryptoreklamę nie będziemy ujawniać, gdzie ów lokal funkcjonuje. Ciesząc się z odrodzenia starej i trochę zapomnianej krakowskiej tradycji, warto współczesnym krakowianom przypomnieć, czym właściwie był ów, trochę mityczny, „handelek”.

W tym celu odwołajmy się do arcyprześmiewcy i odbrązawiacza wszelkich świętości, którym był Tadeusz Żeleński, znany jako Boy. Otóż w swojej książce o młodopolskim Krakowie, zatytułowanej „Znasz-li ten kraj”, pisał on o kpinkach „zielonobalonikowych” kabareciarzy z planów utworzenia „Wielkiego Krakowa”. Bractwo to nie szanowało żadnej świętości, a więc kpiło i z pomysłów prezydenta Juliusza Lea, komentując je takimi oto słowami: „Nasz wielki Kraków, nowiusieńki gród, dziwuje mu się z całej Polski lud; tak równiutko podzielony, na dzielnice rozłożony, wszystkie profesyje zmieści, jeszcze przestrony… – W pierwszej dzielnicy ma Kraków wielki, świętość narodu, swoje handelki; wśród klombów fontanna z piwem, tryska źródłem wiecznie żywem, wszystkie ludu łączy stany wspólnem ogniwem”. Jak widać, kiedy pisano te słowa, czyli ok. 1909 r., „handelek” był w Krakowie powszechnie znany, a nawet urastał do rangi jednego z symboli miasta.

Czym są handelki?

Jednak co kryło się za tym słowem? Odpowiadając na to pytanie, trzeba przede wszystkim stwierdzić, że krakowskie „handelki” mają długą tradycję. Istniały bowiem już na początku drugiej połowy XIX w. Pisała o nich Maria Estreicherówna w swojej niezwykle cennej książce „Życie towarzyskie i obyczajowe Krakowa w latach 1848–1863”, wspominając, że „Pewna grupa literatów krakowskich, dziś już mniej więcej zapomnianych, tworzyła rodzaj cyganerii, spędzającej dużo czasu po handelkach, zwłaszcza u Fuksa”. Owe „handelki”, w których tracili czas i pieniądze literaci oraz kandydaci na literatów, były sklepami „korzennymi posiadającymi konsens na garkuchnię”. Można w nich było nie tylko kupić pieprz, cynamon czy wanilię, lecz także coś zjeść i wypić. W ten sposób sklepy powoli zmieniały się w małe bary. Podawano tam piwo, a wódki, likiery, koniaki zaczęto sprzedawać na kieliszki, a nie na butelki. Tam, gdzie się pije, potrzebna jest także i zakąska. Pojawiły się więc proste dania i pierwsze kanapki, początkowo skromne, później coraz bardziej wymyślne.

Coraz liczniejsze „handelki” stały się groźną konkurencją dla krakowskich restauracji. W marcu 1887 r. właściciele restauracji zwrócili uwagę Świetnego Magistratu Miasta Krakowa, że „kupcy handlów korzennych czynią Restauratorom największą konkurencję”. W piśmie wymieniono nazwiska tych szczególnie szkodliwych konkurentów. Byli to: „Biazon, Hawełka, Fuks, Wentzl, Kosz, Szklarczyk dawniej Mecnarowski, Dutkiewicz, Gaweł”.

Kto odwiedzał handelki?

Z wymienionej ósemki największą sławę zdobył pan Antoni Hawełka, którego „handelek” powoli zmienił się w prawdziwą, renomowaną restaurację. Pamiętajmy, że przed pierwszą wojną światową odwiedzający Kraków warszawiacy wizytę u Hawełki traktowali prawie tak samo, jak zwiedzanie

świeżo uwolnionego od austriackiego wojska Wawelu. O popularności tego lokalu najlepiej świadczy otwarcie w Warszawie „Baru à la Hawełka”. Inne „handelki”, choć nie zdobyły tak wielkiej sławy, prosperowały całkiem nieźle. Nazywano je „lokalami śniadankowymi” lub „pokojami do śniadań”. Nazwy te były w pełni uzasadnione. Jadła w nich bowiem swój pierwszy posiłek specyficzna klientela. Byli to askultanci, czyli niżsi urzędnicy sądowi, suplenci, czyli początkujący nauczyciele gimnazjalni, a także rozpoczynający karierę wojskową c.k. leutnanci. W monarchii austro-węgierskiej istniał bardzo rozbudowany system praktyk i stażów. Stosunkowo niskie pensje nie pozwalały na założenie rodziny. Młodzi urzędnicy wynajmowali więc „kawalerskie pokoje”, a śniadania zjadali w „handelkach”, do których wstępowali, idąc do pracy.

Otwarcie nowego „handelku” było ważnym wydarzeniem. Przykładem może być wiadomość, która ukazała się na łamach „Nowej Reformy” w połowie stycznia 1892 r. Czytamy w niej: „Wczoraj odbyło się w domu przy ulicy Szewskiej pod l. 8 otwarcie i poświęcenie nowo założonego w mieście naszem handlu towarów korzennych, delikatesów i win p. Aleksandra Merca. Aktu poświęcenia, który się odbył wobec licznego grona przyjaciół, znajomych i zaproszonych gości dopełnił gwardyan OO. kapucynów ks. Bernard”. Gazeta donosiła też, że lokal jest świeżo odnowiony oraz gustownie urządzony. Znajdziemy tam również informację, iż „w pierwszym pokoju znajduje [się] handel korzenny i bufet z zakąskami, w dalszych zaś ubikacyach pokoje do śniadań i kolacji”. Jak widać w „handelku” Aleksandra Merca można się było pożywić i przed pracą, i po wyjściu z biura, sądu lub szkoły.

Reklama dźwignią handlu

Właściciele „handelków” dbali o swoją klientelę. Czytając roczniki starych krakowskich gazet, można natrafić na ciekawe reklamy. Na przykład Michał Bocheński, prowadzący przy ul. Floriańskiej „Bazar Spożywczy”, pisał, że w jego lokalu „wobec postu wielkiego można zjeść za 6 ct. dobrego śledzia”. Natomiast pan Wincenty Gawlas polecał „z własnej parowej destylarni znakomite nalewki owocowe, wódki pędzone na gorąco, rumy, koniaki, araki”. Wyroby te musiały być naprawdę nie byle jakie, skoro „odznaczono [je] złotym medalem oraz dyplomem honorowym na Wystawie paryskiej”. Przy sklepie funkcjonował „pokoik do śniadań [z] osobnym wejściem”.
Lokal pana Gawlasa funkcjonował w miejscu bardzo prestiżowym, na linii C–D Rynku Głównego, i przeznaczony był raczej dla eleganckiej klienteli. Trzeba jednak przyznać, że nie wszystkie „handelki” były odwiedzane przez młodych kandydatów na profesorów, sędziów, prokuratorów czy generałów. W styczniu 1909 r. jedna z krakowskich gazet ubolewała, że w pewnym „handlu towarów korzennych” odbywają się „całonocne hulanki rozmaitych podejrzanych gości przy akompaniamencie wrzaskliwej szafy grającej”. „Handel” ów mieścił się przy ul. Lubicz pod numerem 24, a jego właścicielem był pan Mojżesz Gronner. Gazeta ubolewała zwłaszcza nad zachowaniem zatrudnionych w lokalu pań, które „skoro tylko mrok zapadnie, wychodzą przed dom na ulicę i obcesowo wciągają do handlu – tak powracających do koszar, znajdujących się przy rogatce mogilskiej, synów Marsa, jako też różnych nożowników”. Przy takiej klienteli nie można się było dziwić, że „handelek” na ul. Lubicz cieszył się złą sławą. Jak donosiła gazeta, zdarzały się tam często kłótnie klientów, a „wynikłe stąd wrzaski i krzyki, jęki rannych, ucieczki i gonitwy, nie pozwalają nieraz przez całą noc spokojnym obywatelom tej dzielnicy zamknąć oczu”.

Oczywiście jesteśmy przekonani, że nowo otwarty – i to w bardzo prestiżowym miejscu – lokal będzie kontynuował najlepsze tradycje krakowskich „handelków”.